WYCHODZI 4 RAZY NA MIESIĄC Cena 25 groszy

ROK III WARSZAWA, PIERWSZY NUMER SIERPNIOWY 1927 ROKU Nr 4 (62)

GŁOS OFICERA PODOFICERA SZEREGOWCA REZERWY

ORGAN URZĘDOWY STOWARZYSZENIA REZERWISTÓW i BYŁYCH WOJSKOWYCH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

POŚWIĘCONY ZESPOLENIU IDEOWEMU OFICERÓW, PODOFICERÓW I SZEREGOWCÓW REZERWY NA GRUNCIE ICH PRZYNALEŻNOŚCI DO WOJSKA POLSKIEGO I PRZYSPOSOBIENIU WOJSKOWEMU

pod redakcją kpt. rez. STEFANA KRZACZYŃSKIEGO

WIELKA MOWA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

WYGŁOSZONA NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W KALISZU W DNIU 7 SIERPNIA R. B.

— Kochani Koledzy i Towarzysze Broni!

Zwyczajem naszym legjonowym jest, że rok rocznie zbieramy się z ważnej przyczyny. A zarazem zwyczajem jest, że jako były wasz Komendant, były wyobraziciel waszej pracy, muszę przemawiać. Ciężary są podzielone. Wy macie krzyk, a ja mam pracę, pracę mówienia.

Dziś kiedy myślałem, o czem mam przemawiać, przypomniałem sobie wszystko, com dotąd mówił na każdym ze zjazdów, szukając tematu dla dzisiejszego przemówienia i szukając o czem jeszcze z pomiędzy rzeczy, któreśmy przeżyli, mogę mówić, bez powtarzania się ciągłego, bo przemawiam w 13-tą rocznicę wymarszu z Krakowa, w 13-tą rocznicę naszych urodzin. Jesteśmy więc już prawie podlotkami i mamy prawo mieć pamięć przeżyć.

Gdy nad tem myślałem, przyszło mi na myśl, żem niedostatecznie jeszcze w swych przemówieniach legjonowych podkreślił jedną wielką prawdę naszego istnienia i naszej pracy, wielką prawdę naszego życia. Niema już żadnej wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, że wtedy w r. 1914, kiedy wojna wybuchła na świecie i kiedy ludzie szli strumieniami i potokami przelewać krew dla takich czy innych celów, to między temi celami, o które ludzie swą krew przelewali, nie było celu polskiego. Nikt o Polskę, jako o Polskę, krwi przelewać nie chciał i nie dążył do tego w swych celach politycznych, aby dla Polski cokolwiekbądź stało się innego, prócz tego, co było i przed wojną.

My, jako legjoniści, zrobiliśmy ten wstęp do możliwości przelania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garstką ludzi z tą różnicą od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, któryśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski, nie dla czego innego, a jedynie dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa w pracy dla Ojczyzny naszej.

Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa, przy której staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozumną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa, którą my mamy, jest naszą cechą historyczną. Nie raz w poprzednich odczytach starałem się wyjaśnić, jakie wobec pierwszeństwa czynu są skutki dla tych, co idą naprzeciw — przynajmniej dla nich. Jak przebywać drogę jest trudno i jak trudno jest zrobić rzecz nową, która nie istniała poprzednio.

Przy tej palmie pierwszeństwa jednak spotkaliśmy natychmiast także zjawiska inne. Spokojnie nazwę je agenturami obcemi. Z natury rzeczy, jako były Naczelny Wódz, który prowadził wojnę, wiem, co znaczy agentura i wiem, jaki jest mechanizm jej pracy. Z natury rzeczy do takiej pracy musiałem stanąć — do takiej pracy, jako obserwacji i jako pewnej próby skłonienia do takich czy innych zmian, któreby były potrzebne dla interesów armji i celów politycznych tego czy innego państwa. Nie dziwię się więc wcale, że do was agentury się przyczepiły, i że szliśmy krok w krok, mając obok siebie płatne agentury obcego państwa, robiące na naszych plecach interesy, (gdyż innych agentur świat nie posiada), agentury, które muszą nas obserwować i muszą iść krok w krok z nami w naszej pracy.

Mieliśmy naturalnie agenturę obcą, jako agenturę jednego z państw zaborczych. Praca zaś nasza, gdyśmy szli przelewać krew za Polskę, nie mogła nie przeczyć w różnym stopniu prawom państw zaborczych, któreby chciały, aby przelewano krew tylko za nie, a nie za Polskę, gdyż na całym świecie nikt za Polskę nie przelewał krwi i nikt celów polskich na początku wojny nie stawiał i stawiać nie chciał. Wobec tego agentury musiały istnieć w sprzeczności z naszemi dążeniami. Musiały szukać interesów zaborczych, aby nas przemocą zatrzymać i usunąć od wielkości dlatego jedynie, aby wielkość krwi, przelanej za Polskę, nie była za wielką dla interesów zaborczych.

Stąd płynie to ciągłe szukanie ze strony zaborcy i ze strony jego agentury odebrania nam tych cech, któreby nas charakteryzowały, jako przelewających krew jedynie za Polskę, a nie za co innego. Wobec tego, że liczba nas, jako przełamujących drogi, była względnie mała, że zatem ogół naszych rodaków nie szedł za nami w pracy, agentura była ułatwiona. Niema dla mnie dwóch zdań, że pracę agentury płatnej,

robionej dla celów państwa obcego, zaborczego, nie dla Polski, czyniły za mnie pewne czynniki, które starały się, że tak powiem, usunąć nas od praw tych, do których dążyliśmy. Starano się nas zapaskudzić, abyśmy bohaterstwem dla innych nie byli.

Porównuję to do działania muchy, która, jak wiadomo, pstrzy, dając czarne i brunatne kolory. Tak, że nieco to wyglądało jak czarno-żółte plamy na naszych mundurach. Przypominam sobie te usilne starania, które czyniono w stosunku do nas, czy to, abyśmy wyglądali, jak landszturmiści, otoczeni czarno-żółtą opaską, czy to, aby spróbować nam zrobić tę czy inną przykrość, jak ze sprawą sztandaru z jednoczy dwugłowym orłem, czy to przez próby, czynione stale i ustawicznie, abyśmy podlegali austrjackiemu mundurowi.

Takie były prace agentur austrjackich, idących obok nas i starających się nas stale obniżyć. W parze z nią szła agentura inna, agentura rosyjska, t. j. tego państwa, z którem austrjacy i my walczyliśmy. Szła w tym samym kierunku, także płatna i świadoma, również dążąca do obniżenia naszej pracy i do zapaskudzenia nas czy słowem, czy określeniem, czy czemkolwiek, abyśmy dla naszych rodaków nie byli pociągającymi, abyśmy nie byli wzorem dla współrodaków. Jeżeli wezmę te rzeczy tak, jak one w moich pracach i dowodzeniach wyglądają, to śmiało i spokojnie stwierdzam, że obok nas szła jedna i druga agentura, służąca zaborcom, która powodowała obniżenie naszych wartości i naszych prac, które czyniły nie to, cośmy chcieli, lecz narzucały nam te myśli, które były pożądane dla zaborców.

Jeżeli wezmę przeżycia moje, jako dowódcy waszego, zmuszonego nieraz pertraktować z dowódcami i targować się o wasze wygody, o wasze życie i wszystko, co się tyczyło codziennego życia wojennego, czy to z tymi, czy z innymi panami, czy też sztabem, z którym trzeba było się targować, to muszę mieć większe doświadczenie i większy wgląd do tego, co się za tem kryło.

Moi Panowie! Zupełnie pewnie stwierdzam, że najbardziej ze zrozumieniem naszej sytuacji odnosili się do nas ci, którzy nigdy polskiego słowa nie umieli wymówić, to znaczy, że najwygodniej nam było z dowódcami korpusów, czy dywizji, którzy nie słyszeli polskiego języka, którzy mieli narzecza węgierskie, rumuńskie, narzecza niemieckie, jako swój stały język codzienny. Tam nam było najlepiej. Tam najprędzej spotykałem ludzi, którzy weszli w naszą sytuację, najwięcej udzielali rad, aby nie uledz zniszczeniu i zamęczaniu na śmierć, najwięcej obrony, a więc wśród najbardziej obcych nam ludzi, którzy starali się jedynie o siebie i potęgę swego państwa.

To jest zjawisko stałe i codzienne, z którem my idziemy rok za rokiem, idziemy dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, że nasza praca — tak powiem — była współbieżna z pracą agentur obcych.

Jeżeli zaś wezmę, że przy tej palmie pierwszeństwa, którą my mamy w stosunku do prawa przelewania krwi tylko za Polskę, a nie za co innego, to znajdę zaraz i inną cechę, która bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować. Jest to „prawda Polski", którą spotykało się czy po wsiach, czy po dworach, czy w miasteczkach, gdyż mieliśmy to szczęście, w porównaniu z legjonami innymi z historji z pieśni narodowych, że myśmy walczyli na terenach naszej ziemi, a ani razu zagranicę Rzeczypospolitej nie wyszliśmy. Mieliśmy więc stale otoczenie to, które i teraz w Polsce istnieje, tę samą Polską ludność.

Jeżeli przypominam sobie swe wrażenia w ciągłych marszach i przemarszach przez najróżniejsze części Polski, wśród kwater, które trzeba ciągle zmieniać, — jeżeli zestawię swoje wrażenia od roku 1914 do 1916 roku, w którym nasze marsze się skończyły, to znajdę zawsze rosnące, zawsze narastające prawdy, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sympatji i coraz więcej honorów.

Szło to tak powoli, że ręczę, iż niejeden z was w nocy cichą łzę przelewał i cyniczniał zbyt szybko w swojem rozumieniu miłości Ojczyzny.

Nazywano was ongiś żołnierzami bez Ojczyzny, trawestując prawdę Żeromskiego o dawnych legjonistach, których nazywał żołnierzami-tułaczami. I gdy sobie przypomnę narastające rozumowania, z któremi się spotykałem, narastające prawdy, które wówczas nam mówiono, narastające szepty (gdyż ludzie się bali), które nam w uszy szeptano, to znajdę zawsze skromność polską, która bała się wypowiedzieć wszystkich mocniejszych słów, wszystkiego, prócz łzy, prócz cichego rozczulenia, przy spotkaniu się z obrazkiem, który się znało, i na który się patrzyło, zakrywając jednak książeczkę ze strachu. Mundury nasze nieco przypominały takie obrazki, specjalnie rabat ułański, wysokie czako przypominało to, co było, to, o czem się śniło, o czem się bardzo szeptało. Gdy przebiegnę te dwa lata, koniec roku 1914, 1915 i 1916, ostatnie legjonowe boje na Wołyniu, to znajdę wzrastającą prawdę bardzo powoli, otaczającą nas niby nimbem bohaterstwa, nimbem szaleństwa, piękności jakiejś, nad którą łzy wylewać trzeba, że widzieć ją jeszcze można.

Mamy więc dwa zjawiska bardzo jaskrawe, z któremi po dziś dzień, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku idziemy, mając obok agentury obce, starające się nas stale obniżyć, nieco zapaskudzić i upstrzyć, stale uczynić z nami tak, abyśmy wzorem dla innych nie byli. My idziemy, mając tę palmę pierwszeństwa przelanej krwi za Polskę — jedynie jako odludki i nieco „upstrzeni" ludzie.

Obok zaś widzimy wzrastającą, sentymentalną, lecz bardzo bezsilną prawdę bohaterstwa nieco nie rozumianego. Ot — pierwiosnek, który zawcześnie z pod śniegu wyrósł, po to, by paść martwym w nocy. Byliśmy jak jacyś opóźnieni wędrowcy z dawnych czasów, — jak mary, wyciągnięte z przeszłości, przypominające marzycieli, jak owi „niezłomni rycerze".

Takie były te dwa lata przeżyć najcięższych, które najciężej wspominam. Agentura obca i płatna, szukająca obniżenia naszej pracy i z drugiej strony bardzo niejasne i bardzo nieliczne prawdy współczucia dla naszej pracy.

Jeżeli wezmę następne czasy, to żyjemy wówczas już w okresie, gdy nagle zaczyna się sprawa polska, gdy po raz pierwszy ludzie zaczynają się sprawą polską zajmować, jako rzeczą, o której dawniej mówić nie chciano. A dzieje się to nie dla czego innego, jak dlatego, że państwa, które rzuciły w grę miljony istnień i miljardy złota na szalę wypadków, zatrzymały się w jakiejś dziwnej równowadze sił bez możliwości wyjścia poza tę równowagę. Jest to koniec roku 1916 — 17. Idą te chwile, gdy zwycięstwo się chwieje, gdy wrażenie ogólne nie daje możliwości

światu wiary w szybkie zwycięstwo jednej strony walczącej nad drugą, gdy poszukiwano jakiegokolwiek ciężarka, któryby rzucony na szalę, chociażby zaczął ją przechylać na tę, czy inną stronę, gdy w gabinetach i w dowództwach zaczynają szukać gwałtownie tego ciężarka po dwóch latach pracy wojennej. Wylano już olbrzymie morze krwi i świat podzielono na to, co jest po jednej stronie drutu kolczastego i po drugiej stronie drutu, wciągnięto w grę świat cały, i ciągle szukano ciężarka, któryby mógł przechylić szalę na stronę zwycięstwa.

W poszukiwaniach tych poszukiwano i Polski. Moi Panowie! Nie dziwię się, że państwa zaborcze tej kwestji nie chciały dotykać. Długo męczono się nad formułami, nad wymyśleniem takiego jakiegoś znaku na ziemi i na niebie, żeby Polska i była i nie była, żeby można było po najtańszej cenie wykpić się z potrzeby poszukiwania tego „najmniejszego ciężarka".

Między innemi ciężarkami, które wyciągano z lamusa przeszłości, rzucono się, jak powiadam, i do sprawy polskiej. W ten sposób odtąd, w 1916 r. zaczyna sprawa polska narastać, zaczyna być czemś, co ma cenę, o czem warto mówić, to co stanowi Polskę i to, co stanowi polską siłę, zaczyna być wartością dla innych. Zarazem jednak zaczyna się nad nami zwycięstwo absolutne agentur. Nie dla czego innego to zwycięstwo agentury nadchodzi, jak dlatego, żeśmy niedostateczne przez te dwa lata zyskali poparcie i siły ze strony naszego otoczenia, tak, że nad nami bardzo łatwo można było przejść do porządku dziennego. Wtedy jednak agentury wszystkich trzech stron, gdy tylko Polska uzyskała wartość, poczuły żer, poczuły możliwość posiadania atuta Polski w swem ręku tak, by każdy z tych narodów, który płacił, był z nich zadowolony. Oddać im w ręce tych, którzy mieli za sobą sławę dobrych żołnierzy i cicho mówiąc „warjatów"! Jakże w ręce warjatów oddać losy narodu, przecież to jest rzeczą niemożliwą. To jest pierwsze, jakby hasło rzucone na naszą pracę, gdy tylko ważka polska zaczęła przechodzić z rąk do rąk, z papieru do papieru, gdy między komendami najrozmaitszych narodów krążyć zaczęły projekty związane z wartością Polski.

Gdy w tych papierach zaczęto mówić o możliwości robienia coś z Polską, od tej chwili zaczęliśmy spotykać już nie obserwację agentur, ale walkę otwartą z nami. Nie chcę twierdzić, żeby nie walczyły także z sobą. Różne drogi jednak nie przeszkodziły wcale połączeniu wszystkich agentur, walczących z sobą, w charakterze reprezentacji mocarstw, walczących między sobą. Były zupełnie jednozgodne z tym celem, były najzupełniej jednozgodne w pracy obniżenia, albo przełamania nas o tyle, by dać prawdę swej agenturze.

Jestem w tem szczęśliwem położeniu, że jestem w posiadaniu najrozmaitszych papierów, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, które krążyły między dowództwami, między państwami. Twierdzę tedy, że od 1916 r. zaczyna się prawda o Polsce podwyższać i że to szukanie ważek na szalę rzucanych zaczyna odgrywać rolę w pomysłach wielkich mężów stanu i wielkich generałów, dowodzących wojskami stron walczących.

Do palmy pierwszeństwa przyłącza się wtedy palma męczeństwa, gdyż niema wątpliwości, że nasza prawda, którą przeciwstawiliśmy prawdzie agenturnej, dała w rezultacie absolutne zwycięstwo agentury. Zostaliśmy w tem starciu z agenturą pobici i święcimy dziś 10-cio-lecie Szczypiorny. 10-cio-lecie Magdeburga, 10-cio-lecie tych czy innych „wychodków" świata i więzień, do których nas rozsyłano, kończąc w ten sposób życie Legjonów, które wspominamy, jako życie wojenne.

Są to lata, w których sprawa polska w ten czy inny sposób się wysuwa, staje się rzeczą rachunku, liczenia, kalkulacyj mylnych czy nie mylnych, wszystko jedno, lecz kalkulacyj, których przedtem nie czyniono. Wytłomaczyłem powody i przyczyny, dlaczego tych kalkulacyj dokonywano. Z chwilą, gdy świat dochodził do równowagi, natrafił na polski ciężarek o 3 czy 4-ch łutach (nie wiem, jak go rachowano), którym mógł przechylić szalę na tę czy inną stronę. Spotykamy wtedy świat agentury przeciwko nam idący całą parą i czyniący nam nietylko już upstrzenia w ten czy inny sposób, ażebyśmy pachnęli odchodami, lecz świat agentury, odnoszący zwycięstwo. Pod tym względem — powtarzam — niema różnicy między światem agentur po tej stronie czy po tamtej stronie drutów. Świat agentur szedł drogą zupełnie jednolitą, jednostronną, gdyż nieraz zaborcy względem Polski byli jednem i tem samem, a kierowali się myślą: jeżeli trzeba, żeby coś z Polski było, niech to będzie jak najmniej poważne i znaczne.

Panowie! W całem naszem legjonowem przeżyciu mamy palmę męczeństwa i pierwszeństwa, daną nam w okresie, gdy nikt o Polsce nie chciał myśleć. Palma męczeństwa przychodzi właśnie wtedy, gdy zaczynają myśleć o Polsce na świecie, gdy Polska staje się wartością, która ma jakąś cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legjonów, powędrowałem w świat do niemieckich więzień i wielu z was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj, gdyż ja byłem zawsze generałem i mnie nie chciano zbyt wielkich przykrości robić, wtedy, kiedy was czekały gorsze rzeczy, jak Szczypiorna i inne. Mnie absolutnie izolowano tylko od świata, abym nie mógł wywrzeć żadnego wpływu na nikogo.

Sprawa Polski tymczasem urastała coraz bardziej, wyrastała nie powiem, żeby przez nas, przez polaków, bo nie robiliśmy żadnych usiłowań, a przy tych powodziach krwi, którą wylano wówczas na świecie— strumyczek krwi polskiej był znikomo mały.

Idzie znowu koniec roku 1917 i cały rok 1918. Każdy z was żywo pamięta, jak sprawa szybkiemi podskokami idzie naprzód, ile pod tym względem papieru zapisano wtenczas o sprawie Polski między wszystkiemi walczącemi gabinetami? To jest w porównaniu z rokiem 1914 i 1915 przerażające, jak dużo projektów podano, jak zrobić Polskę, tak, żeby jej nie było, i ile najróżnorodniejszych usiłowań uczyniono, aby tak postąpić. To przekracza nawet rozmiary wcale przyzwoitej bibljoteki. Pisano i próbowano najrozmaitszych sposobów. Polska zaczyna być modną, zaczyna być kwestją nawet już dokuczliwą, gdyż trzeba koniecznie zajmować wobec niej stanowisko i trzeba to stanowisko koniecznie określić na całym Bożym świecie, skoro się za Polskę leje krew nietylko już polską. Polska narasta już jako pewnik, jako coś, co przychodzi, jako coś, co nadejdzie w tej czy w innej postaci i do pracy państw ma prawo.

Było to bardzo wygodne, by w pracy tej pomagała temu czy innemu państwu agentura. Agentura bowiem polega na tem, że jeżeli kto płaci, to służby za zapłatę wymaga.

Gdy w roku 1918 po przyjeździe z Magdeburga stanąłem do pracy państwowej polskiej i gdy w tym samym mundurze, w którym tu przemawiam, reprezentowałem Polskę, miałem wtedy wgląd w sprawy świata nieco większy, niż poprzednio. I mogę zapewnić, że agentury państw, które się o Polskę targowały i o Polskę układały według własnej woli, miały głos znacznie silniejszy i pewniejszy, niż wszystko, co agenturą nie było.

Gdy w przyszłości historja będzie miała dostęp do archiwów tajnych poszczególnych państw, bo takie czasy zawsze nadchodzą, wejrzeć można będzie do dossier każdego z agentów, którego się określa ceną tego co kosztuje: jak na giełdzie agenturowej, cena jego raz spada, raz się podnosi.

Cena jest pewnikiem. Nikt nie chce płacić za drogo za złą pracę, jak i odwrotnie państwa szukają sobie obniżenia ceny, stawiając coraz silniejsze żądania, aby w ten sposób cena spadła. W spisach tych wszystkich znajdziecie nazwiska wielu z waszych znajomych. Mówię jako człowiek, który rządzi państwem, i jako człowiek, który wie, co to jest cena i jak się za te rzeczy płaci.

Gdy więc legjoniści zostali usunięci, jako czynnik, za pomocą brutalnego zwycięstwa i więzienia, cała sprawa polska trafiła do rąk agentury, złożonej z polaków, która pracowała na rzecz państw różnych — nieraz odrazu na rzecz kilku państw, gdyż to w końcu wojny zaczęło być w modzie. Agent ten był ceniony, który potrafił pracować na rzecz kilku państw. Agenci tacy nawet dotychczas istnieją i stanowią dla mnie jeden z objektów śmiechu.

Świat doszedł do przekonania, że agenci ci nie mają żadnej wartości, a tymczasem wojna doprowadziła do tego, że w rozpędzie, w poszukiwaniu, w momencie osłabienia państw walczących płacono agentów szalonemi sumami, zaoszczędzając w ten sposób krew ludzką. Szukano dla zaszkodzenia walczącym państwom ich najsłabszej strony. Metodami tych, którzy płacą pieniędzmi obficie, jest szukanie błędów zwalczanego państwa i wskazywanie agenturze, aby uderzyła w to miejsce, gdzie boli, a gdzie dostępu niema ani bagnet, ani kula. Szukano rozkładu wewnętrznego państwa.

Znaczenie płatnych agentur jest najsilniejsze, bo godzi w najbardziej bolesne miejsce państw walczących. Rzucano dlatego olbrzymiemi sumami na przekupienie ludzi, jakichś dziennikarzy, jakichś panów, którzyby mogli szkodzić własnej ojczyźnie. Wyczuwano tempo zmęczenia ludzkiego tak, że otwierały się dla nich drogi te, które były dawniej zamknięte.

W r. 1918, pamiętam ten czas, gdyż od tego czasu liczę swe najcięższe przeżycia, zacząłem pracować na państwo polskie, stając na jego czele. Dziki chaos, w który wpadłem po powrocie z Magdeburga, dziki chaos sądów, myśli, zdań, ugrupowań, dziki chaos, niemożliwy nawet do ułożenia w jakąkolwiek łamigłówkę, dzika rozbieżność, były tak wielkie i tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę, gdyż wydawało się mi to niemożliwem.

My teraz skarżymy się na wielką ilość stronnictw, cóż dopiero było w owych czasach, gdy na stronnictwo składało się 4-ch czy 5-ciu ludzi, znajdujących się w jakiejś knajpie. Robiono stronnictwa, wyłączając innych nietylko od cnoty, ale robiąc z innych ludzi potworów zbrodni, i zapowiadając, że za żadne skarby, pieniądze i za żadne rzeczy w świecie nigdy razem obok pracować nie będą. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, tobym doprawdy zwarjował od wysłuchania jednego dnia 50-ciu ludzi. Wszyscy byli przeświadczeni o swej wartości; nie poczuwając się do żadnej siły, żądali usłuchania recept zbawienia Polski, których sami nie byli pewni. Odstępowali łatwo od każdego wypowiedzianego słowa, za to bardzo zażarcie zwalczali sąsiadów.

Wiem, że wśród panów znajdują się tacy, którzy mają do mnie pretensję, że z nimi zamało obcowałem w czasie ostatniego zjazdu. Proszę Panów! Osądźcie sytuację, człowieka, który przeżył rok 1918, który wtedy po 20 godzin dziennie rozmawiał z ludźmi, z jednym, z dwoma, dziesięcioma, pięćdziesięcioma, nie mogąc żadnego człowieka z drugim pogodzić, nie mając zupełnie możności postawić jednego obok drugiego z zamiarem współpracy. Ludzie wyklinający tak łatwo swych współpracowników, odsądzając ich od czci i wiary, tak swobodnie uniemożliwiali swym kłótnickim systemem pracę, że dosyć było przeżyć koniec 1918 r., aby zbrzydzić sobie rozmowę z polakami, aby powiedzieć, że jest to niemożliwością rozmawiać z polakiem. Zaliczam do cudów pracy swojej, że w tak dzikim chaosie wybrnąć mogłem i postawiłem pierwszy krok Polski jako państwa.

Całą moją pracą z tamtych czasów było doprowadzenie jakiejś narady z polakami do końca. Męcząca to była praca, tak dalece męcząca, że potworzyłem całe mnóstwo pięknych słówek, które po mojej śmierci będą stawiane jako dowód, że stawiałem tych z którymi rozmawiałem w jednym rzędzie z idjotami. Tak mnie wówczas zniechęcały rozmowy wspólne z 10-cioma polakami razem. Jakie-to wtedy argumenty wytaczano, aby zaraz zapomnieć o wszystkiem, co mówiono, aby mówić co innego nazajutrz, jakie cudowne myśli wynajdywano, aby mnie o tem przekonać, że właściwie należałoby tego lub owego powiesić. Jak ciężko było wogóle dojść do jakiegokolwiek rozstrzygnięcia, aby pracować z nimi! Pamiętam moje decyzje, które powziąć wówczas musiałem.

Musiałem mianowicie szukać prawdy, dlaczego nasze legjonowe bohaterstwo i męczeństwo mogło być tak osamotnione. Za wiele było żądać od przeciętnego człowieka, aby był bohaterem. Myślałem, że teraz, gdy Polska jest państwem, może być wynagrodzi za męczeństwo, za bohaterstwo, i kojącym plastrem zalepi rany, że państwo polskie, podobnie do innych państw, za bohaterstwo zapłaci, dając bohaterom laury na czoło, wystawiając ich naprzód, jako wzór. Myślałem, że wraz z odrodzoną Polską materjalnie i dusza polska odradzać się zacznie. Wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzbywać się zacznie „prawd agentury" jako najrozumniejszych prawd Polski, prawd służby u obcych, jako najpewniejszej prawdy dla Polaka.

Gdy przyszła wojna i gdy Polska odrodziła się razem z wojną, wszystkim wiadomo, że dwa lata dłużej wojowaliśmy, aniżeli reszta świata, że musieliśmy wojnę przeciągnąć poza granicę 6-ciu lat. Wtedy to wywnioskowałem, że naród polski jest zbyt jeszcze słaby, że z trudem zdobywa się na siłę samodzielną i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi wstrętu do służenia obcemu, a nie sobie jedynie i że przez to jest mniej wartościowym w stosunku do innych narodów, które tego nie znoszą. Przeżycia moje, jako Naczelnika Państwa, w wielu rzeczach odskakują już od przeżyć moich jako legjonisty. Nie wątpię bowiem,

że legjoniści trzymając palmę męczeństwa Polski, znaleźli bardzo wielu współtowarzyszy i współkolegów i bardzo wielu ludzi wspólnej pracy tak, że zaczęli tonąć w masie, która zgodnie z mojem oczekiwaniem wraz z państwem polskiem wyrastała. Uczucie ulgi nieraz stąd miałem w moich pracach, mowach, myślach, gdy jako Naczelnik Państwa i jako Naczelny Wódz przeżywałem i kalkulowałem sobie sprawy państwowe w stosunku do swoich zadań.

Jeżeli jednak dotknę się prawdy „służenia obcemu", to ta prawda nie zmalała. Nigdy nie zapomnę wrażeń swych jako Naczelnik Państwa, gdy nasz sztandar narodowy był kiedyś tylko śmieciuchem obok obcych. Widziałem starania stale idące bezustannie w jednym i tym samym kierunku, aby obce agentury szkodliwe dla państwa, były płatne. Szły one krok w krok obok mnie, jako Naczelnika Państwa, szukając utworzenia kilku rządów w Polsce, rządów, któreby stały przy mnie, stały poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów państw, jakby chcieli powiedzieć mi, że moje zamiary potrafią zniszczyć, zepsuć. Nieprzez kogo innego, jak przez polskie agentury widziałem się zmuszonym do ucieczki ze swojemi zamiarami, musiałem się chować, aby ich nie wydać na rozszarpanie obcym. Uciekałem nieraz od swych najbliższych dlatego, by moja prawda i moje zamiary nie były wydane na prawo i na lewo, gdziekolwiekbądź cudzoziemcom. Agentów miały sztaby. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz, nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw. Nie byłem nigdy pewien, czy takie lub inne moje zamiary polityczne nie będą łupem agentur państw obcych, które działały z taką siłą i pewnością, że musiałem wyrzec się niejednokrotnie swego politycznego zamiaru. Jeżeli więc pod względem tej prawdy, która niegdyś szła koło nas, koło legjonistów, jako „sentymentalna prawda", poprawiliśmy się znacznie, to nie poprawiliśmy się pod względem siły agentur obcych, idących krok w krok w naszem państwie. Muszę Państwu powiedzieć, że przy kalkulacjach o zwycięstwo zadanie rozbijało się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodzenia Polsce, aby nie była zbyt silną, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć. Nieraz sobie myślałem, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo w życiu swem nie miało i gdy szukałem w dziejach historycznych antecedencyj, znalazłem zawsze tylko momenty upadku Polski, gdy to ludzie dzielili się między sobą tylko tem pytaniem, komu państwo ma służyć: Katarzynie II-ej, czy „przyjacielowi Polski" Fryderykowi Wielkiemu, czy też trzeciemu konkurentowi Marji Teresie i innym rządom. Przypominam sobie jeden z faktów, który żywo stanął mi w oczach, gdy oglądałem pałac wybudowany przez księcia Sułkowskiego, jednego z najwięcej wykształconych i najlepiej wychowanych magnatów polskich (magnata, który mógł własnym kosztem wybudować ogromny pałac o 250 pokojach, a zatem sięgający do wielkości Watykanu i który mógł sobie na to pozwolić). Otóż magnat ten, który chciał majątek swój zostawić Komisji Edukacyjnej, nie czemu innemu, a więc dążył do kultury w Polsce, do jej podwyższenia, ten sam książę Sułkowski wymieniony jest w listach Katarzyny II-ej, jako pobierający rocznie 150 dukatów, jako jej sługa i pokorny wielbiciel, — on, który w karty mógł przegrywać dziennie 150 dukatów bez uszczerbku dla swego majątku! — Ten właśnie obraz, który mi stanął w oczach pałacu Sułkowskich, przypomina mi niektóre rzeczy, podczas gdy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem.

Tak wszystko wtedy wyglądało, jakby służba obcemu była uważana za najbardziej honorową, najbardziej zaszczytną, najbardziej narodową. Przypomniały mi się wtedy czasy początkowe Legjonów, gdy agentury obce były silniejsze, niż wszelkie prawdy polskie, gdyż służbę u obcych stawiano jako rozum i mądrość stanu w Polsce. My legjoniści, mający w przeżyciach historyczną palmę pierwszeństwa przelania krwi dla Polski, natychmiast zostaliśmy przez agentury wszystkich trzech zaborów opstrzeni i zapaskudzeni tak, by nasze bohaterstwo wyglądało jak najbiedniej, by przy pomocy naszej krwi nie było Polski. Przez dwa lata naszej pracy idą krok w krok obok nas te zjawiska. W następnych dwóch latach pracy, gdy państwo zmęczone przez wojnę, zaczyna pokojową pracę, agentura idzie wziąść znów nad nami i nad naszą pracą zwycięstwo, jak w r 1917, gdy rzuciła nas w więzienie i gdy dała nam w rękę palmę męczeństwa. Gdy w Polsce już zaczyna się polepszenie stosunków, my legjoniści nie jesteśmy już wcale jedynymi polakami, którzy za Polskę otwarcie krew lali i nie możemy brać na siebie przedstawicielstwa tej krwi, którą polacy na polach bitew w szalonych wysiłkach przelali w ciągu dwóch lat (1919—1920). Lecz zwycięstwa nad agenturą nie odnieśliśmy. Jak jakieś przekleństwo, bok w bok, krok w krok, idzie ona dalej, jako społeczeństwo silne.

Moi Panowie, gdym wziął jako temat tę prawdę, wybrałem ją rozmyślnie nie dla czego innego, jak dla tego, aby pewną kropkę nad „i" postawić, aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur; idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

Życzenia ks. biskupa Bandurskiego dla Legjonistów

Ks. biskup Bandurski przesłał na IV walny zjazd Legjonistów następujący list:

„Cześć i pozdrowienie! Gdym w roku 1915 do Was, stojących w daleko rozwiniętej linji ognia pierwsze pisał orędzie, krótkiemi słowy, streszczałem me życzenie:

„Bądźcie szczęśliwsi!"

„Bądźcie szczęśliwsi nad Legjonistów, służących pod znakami Napoleona, nad Belwederczyków, zrzucających cara, nad tych z pod Grochowa i Ostrołęki, którzy niezapomniani są i będą w przyszłości, nad tych z krwawej Ofiary 1863 r., którzy wydeptali szlak sybirskiej drogi, na szubienicach imię Polski pisali, męczeństwem wśród mogił deptanych grzebali ziarno przyszłości Ojczyzny.... a Wolności i Ziemi Obiecanej nie ujrzeli...."

I dał Wam Bóg moc i hart, wytrwałość i Zwycięstwo, dał Wam dożyć największego szczęścia, pozwolił Wam wejść do Ziemi Obiecanej, do Wolnej i Niepodległej Polski.

Z dumą możecie śpiewać:

„Z naszego trudu i znoju Polska powstała, by żyć!"

Z radością możecie patrzeć, jak pod ożywczem ciepłem Wolności zespala się i zrasta w jedną wspaniałą całość, co dotychczas odrębnem oddychało życiem, że żyje i z dniem każdym potężnieje i nabiera powagi i znaczenia w świecie Państwo Polskie.

Miłością bezgraniczną i wiernością niezachwianą otaczacie Dostojną Postać Szarego Komendanta, Najwyższego Wodza i Twórcy Armji Polskiej, Wychowawcy Narodu, Olbrzyma, co na Swych barkach Polskę wydźwignął z mroków niewoli i błota chaosu i słabości na wyżyny, na których widnieje ład, porządek, sprawiedliwość i troska o dobro ogólne Narodu i Państwa, a nie interes jednostki czy kliki.

I w tem umiłowaniu Polski i Wodza cała Wasza Siła, w tem obopólnem zaufaniu moc i dostojeństwo!

Doroczny Zjazd Wasz zacieśnia te węzły jedności i jest przypomnieniem i zewem dla każdego prawego Obywatela-Polaka, by o wartościach niezniszczalnych Narodu pamiętał, o Sobie i o Swoich osobistych korzyściach i interesach zapomniał, a zawsze był gotów do wiernej służby Ojczystej i obrony całości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Zdarz to Bóg!

Tego życzę Wam zdala, gdy biorę udział w uroczystościach I Dywizji Legjonowej i poświęcam pomnik, wzniesiony w Święcianach ku czci poległych u bram tego miasta 16 Legjonistów z 5 p. p. Leg.

I tu i tam, w Święcianach i w Szczypiornie, gdzie odsłaniacie pomnik ku czci żołnierzy Legjonowych — jeńców państw zaborczych w latach 1914—1918, łączy nas wszystkich jedna i ta sama Idea: Ofiarne poświęcenie się Polsce przez krew i więzy.

I tu i tam możnaby zastosować słowa św. Apostoła Pawła, Wielkiego Nauczyciela Narodów:

„Wspominajcież dni dawne, w których przetrwaliście wielką potyczkę utrapienia... gdyście raz zniewagami, lekceważeniem i uciskiem dziwowiskiem się stali, a raz... i z więźniami społu utrapieni byli!"...

Warto wspominać to, co się przetrwało, a co chwałą okryło Naród i Polskę.

Z dawnych wspomnień, z doniosłych chwil przetrwania niech spływa Energja do dalszej owocnej pracy dla dobra i chwały Polski!

Z pozdrowieniem i oddaniem zawsze ten sam

(—) † Władysław Bandurski
biskup.

Daty sierpniowe 1914—1920

Miesiąc sierpień jest dla działań broni polskiej ubiegłych lat kilkunastu doprawdy miesiącem wydarzeń epokowych, decyzyj najważniejszych. Wystarczy przypomnieć w porządku chronologicznym dni sierpniowe: r. 1914, t. j. sławny wymarsz pierwszej kadrowej, sierpień r. 1915 t. j. dobę najuciążliwszych i najdalszych marszów Legjonów Polskich aż do osiągnięcia linji na której na długie miesiące i lata zamarł front rosyjski, sierpień r. 1916, czyli istotny koniec działań wojennych broni polskiej przeciw Rosji w dobie wielkiej Wojny światowej, wreszcie w lat 4 później ten najbardziej może pamiętny, najbardziej dramatyczny, najistotniejszy w rezultatach ostatecznych sierpień r. 1920, kiedy od klęski zdało się ostatecznej aż do triumfu rzadkiego w dziejach wojen dzielił nas krok tylko.

Pominmy lata 1915 i 1916, do których wrócimy może innym razem i rozpatrzmy raczej ten początek i koniec sześciolecia, zamkniętego między datą 6 sierpnia 1914 r. i dniem 15 sierpnia r. 1920. Te dwie daty, rozpatrywane oddzielnie same przez się już dość zastanowienia budzą, choćby, jako pierwszy błysk po latach znów dobytej broni polskiej, jako błysk w wojnie ubiegłej niemal już ostatni, niemal decydujący, (jeśli o bitwie nad Niemnem nie będziemy mówili), w krwawych, rozstrzygających, historycznych zapasach nad Wisłą.

Jestto doprawdy, jakby początek i koniec tej epopei, oglądany z perspektywy dziejów zdaje się otwierać i zamykać okres naszych dziejów całkowicie odrębny, okres, w którym rzuciliśmy się naprzód bez przyszłości i gwarancyj, bez wiary może w zwycięstwo ostateczne, a raczej dla ratowania honoru narodowego imienia i przez lat 6 walczyliśmy ze szczęściem tak zmiennem, że, jak w samym początku działań byliśmy już niemal zagrożeni rozbiciem, tak przecież przed samym niemal zakończeniem walk, co dały nam egzystencję mocarstwową, podwaliny państwa i granice terytorjum, staliśmy oko w oko z najstraszniejszem w dziejach tego okresu niebezpieczeństwem, nad brzegiem przepaści.

Ten fatalizm niepewnej gry, „wściekłego" ryzyka staje u kolebki polskiego wskrzeszonego oręża i nie opuszcza go niemal aż do końca. Przez całe te lat 6 jesteśmy, jak się to mówi, na wozie i pod wozem. W przeddzień zwycięstwa, czy w przeddzień klęski, na powierzchni najbardziej śliskiej, bez żadnych niemal punktów oporu, pozostawieni całkowicie sami sobie, ale bynajmniej nie od nas samych zależni.

Do czynu sierpniowego w r. 1914 pchnięci zostaliśmy, jak dzieci, wolą żelaznej jednostki, która rzuciła nas w odmęt walk przeciw ogólnej opinji rozdartego na 3 orjentacje społeczeństwa w przeświadczeniu, iż albo zwyciężymy, albo zginiemy do nogi, że i ślad po nas nie zostanie. Może gdzieś w najgłębszej głębi duszy taiło się przeświadczenie, te na widok polskich żołnierzy drgnie serce polskie i kraj, jak jeden mąż chwyci za broń. Ale nadzieje te stały się płonne. I już w kilka tygodni niemal po wyruszeniu w bój, w czasie historycznego odwrotu pod Kraków niewiele brakło, by wogóle nic z tych poczynań nie pozostało. Od tego czasu rozpoczyna się walka na dwa fronty: z Moskwą otwarta i z mocarstwami centralnemi skryta. I jeśli pierwsza z nich doprowadza do niesłychanego poziomu doświadczenia i tężyzny młodego żołnierza polskiego, dając mu triumfy nadspodziewane, druga — w lat 2 po rozpoczęciu zdaje się likwidować całe przedsięwzięcie w Magdeburgu, Szczypiornie, Łomży, czy w Huszt, tak, że znów po latach stajemy niemal niżej punktu wyjścia.

Ale dzień 6 sierpnia nie może być wymazany z pamięci. Znika pozornie wszystko, istotnie — ani na chwilę nie przestaje działać wola jednostki, czyli słowo Wodza. Wojsko Polskie, jako Polska Organizacja Wojskowa schodzi w głąb narodu, w podziemia i to właśnie sprawia, iż dzień 11 listopada daje nam w jednej chwili Wodza i Wojsko.

Odtąd toczy się znów wojna ze zmiennem szczęściem. Jakby cudem żołnierz, niemal gołemi rękami wydziera z paszczy wrogów całe połacie kraju i, gdy znów, przy zmiennych, tak, jak w samym początku tego sześciolecia, wojny kolejach, przychodzi do dni sierpniowych roku 1920, kiedy to najtęższym już ręce

poczynają opadać, raz jeszcze wola jednostki, niezwalczony charakter Wodza Naczelnego, pewną niemal klęskę zamienia w ostateczne zwycięstwo.

Następuje moralne odwołanie się do dnia 6 sierpnia. I ten dzień, przypominamy, dziwnym zbiegiem okoliczności, znów w dniach sierpniowych po upływie lat sześciu, sprawia, iż Wojsko Polskie staje w miejscu, jak na komendę: w tył zwrot — zmienia front i już dnia 15 sierpnia prze do zwycięstwa pędem wprost niewstrzymanym.

Takim jest związek logiczny, pozornie sobie dalekich, w istocie zaś bardzo bliskich, — dat sierpniowych.

Karol Koźmiński.

CUD NAD WISŁĄ

Zwycięskiemu Wodzowi — rezerwistom i ochotnikom z 1920 r. — poświęcam

I

Ani was surmy wzywały do boju,
Krwawego boju o rodzinny chram,
Ani was naglił dzwon niepokoju,
Że wróg już stoi tuż u miasta bram...

Ani was pobór brał do szeregu,
Ni woli waszej twardy więził mus,
W wielkich wypadków historycznym biegu —
Duch was jak wicher, ponad gwiazdy niósł.

Duch ten — potężny ludzkich sumień sędzia,
Porwał was mocą w świat czynów, nie snów.
Miłość serdeczna, nie szumne orędzia,
W mnogi, zwycięski złączyła was huf!!...

I mówić będą stulecia potomnym,
że genjusz Wodza ów nad Wisłą cud
począł wysiłkiem swej woli ogromnym,
A wasz ofiarny dokonał go trud!!...

II

Nie zginie naród, który mówi „jestem",
Lecz do potęgi drogę prostą ma;
Wielką rezerwą (jak w roku dwudziestym)
Sił nieprzebranych trwać będzie i trwa,

W narodzie polskim takich sił są złoża,
Sił, co piekielne zetrą moce w puch.
W tych bowiem siłach tli się iskra boża,
Przez którą włada nad materją duch.

I choć, jak ongi, zdało się, już prysło,
Jak szklana bańka, szczęście wolnych dni —
Duch ten wywołał jasny cud nad Wisłą:
Zwycięstwo, które w silnej woli tkwi.

A cud podobny zawsze nam się ziści,
Gdy i w pokoju posterunek wasz
Ten — ochotnicy i wy rezerwiści:
Dzierżyć nad Wisłą najczujniejszą straż!

AREJ.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

WSPOMNIENIA WOJENNE

OCHOTNICY (c. d.)

Powoli uspakajała się gorączka; zamęt i rejwach pierwszych godzin ucichał. Ochotnicy zostali rozmieszczeni w salach, podzieleni na plutony, wzięci niejako w ryzy wojskowe. Olbrzymia maszynerja wojskowa poczęła ucierać kanciaste i chropowate indywidualności. Trudno było by powiedzieć, jak się to właściwie robiło. Ale robiło się, to grunt!

Po kilku dniach, spędzonych w koszarach, dyrektor banku niewiele już się różnił od słuchacza medycyny. Zacierały się różnice stanu, czy majątku. Wydobywała się natomiast istotna wartość ludzi. A więc, po pierwsze, ich charakter. Następnie, ich zalety towarzyskie, względnie, wady... Wszystko to okazywało się już przy pierwszej okazji. Widać było zaraz, który ochotnik będzie tchórzył w ogniu, który zaś pójdzie odważnie naprzód, choćby mu miało stu djabłów skakać do oczu!...

I arystokracja gdzieś się podziała, i zadzieranie nosa, tak częste, niestety, w polskiem życiu... Siedział sobie dziedzic obok fornala i wsuwał zupę, aż mu się uszy trzęsły.

Oburzyłby się przedtem Jaśniewielmożny, gdyby mu kazano jeść ze służącym jedną łyżką... Ale cóż? Wojna, to nie bal... Koszary — nie salon... Fornal, przezorniejszy od dziedzica, miał ze sobą łyżkę cynową, dobrą do noszenia za cholewą, a dziedzic o łyżce zapomniał... Więc się wspomagali wzajemnie. I zaczynała się rychło wytwarzać rzecz ważna, silniej wiążąca ludzi, niż najmocniejszy klej: Koleżeństwo! Spróbował był któryś z ochotników, który w cywilu ogromnie się puszył, traktować z góry ochotników z warsztatu. Ale dostał od nich tęgą odprawę, a na sam koniec narwał się na Potockiego... Ten przymrużył swe jasnobłękitne oczy, okrasił usta niewinnym uśmieszkiem — i zaczął pucować swą ofiarę z okrutną ironją, nic a nic nie folgując...

— Proszę?... Pan Hrabia niezadowolony z wojska? Panu Hrabiemu śmierdzi kolega szewc, bo szewc? A potrafi też Pan Hrabia buty podzelować? Nie potrafi! A potrafi zacna osoba portki sobie załatać? Nie potrafi! A widzi Wasza Wspaniałość że kolega szewc to wszystko sam sobie zrobi... Aha! A jak co przyjdzie do czego to powiem Panu Hrabiemu, że tamten ochotnik mi się więcej widzi, bo jest chłop, jak się należy... A jegomość ma nóżki, jak u komara i jak wypadnie nogować, to go pewnie bolszewicy zaraz zdybią, bo na tych piszczałkach nie ucieknie... A koń Waszą osobę pewnie zrzuci, bo nawet szenkli nie widać, którymiby mógł Pan Hrabia szkapę obłapić...

(c. d. n.)

Prenumerata 1 zł. za każde 4 n-ry wraz z przesyłką. **Ogłoszenia** 1 str. 200 zł., 1/2 str. 120 zł., 1/ str. 70 zł., 1/8 str. 40 zł., 1/16 str. 25 zł., ogłoszenia w tekście i na ostatniej stronie o 50% drożej, adresy 5 zł. Konto czekowe w P. K. O. Nr 2680.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. S-to Krzyska 17 m. 11, druga brama, drugie piętro. Telefon Nr 168-74.

Redaktor i wydawca kpt. rez. Stefan Krzaczyński przyjmuje po uprzedniem porozumieniu się telefonicznem.
Administracja czynna w godz. 10 — 19 prócz niedziel i świąt.

DRUK. M. S. WOJSK WARSZAWA PRZEJAZD 10